

Szklane kurniki

Żuk wysłuchawszy poematu obelg i gróźb, a wreszcie błagalnych próśb oraz obietnic, wyraził zgodę na wyruszenie w drogę na targ. Przyznam szczerze, że nie lubię tam jeździć, w ogóle nienawidzę miast – są okropnie niegrzeczne. Wpraszą się na wieś, nie zapytawszy nawet o pozwolenie. Budują tu swoje domy, fabryki, drogi czy farmy wiatrowe i fotowoltaiczne. Nie jestem nadto wykształcony, lecz przecież każdy wie, że to strasznie nieprzyzwoite. Ludzie nazywają rolników grubianami, ale to nieprawda. Czy gospodarze zakładają hodowle i uprawy w betonowych dżunglach? Nie. Toż na tyle oni wychowani, żeby miejsce wszelkiej rzeczy na świecie znać. Miasta przypominają mi jeszcze ten znany wszystkim rodzaj starej, opryskliwej ciotki, z którą utrzymuje się serdeczne kontakty, licząc jedynie na materialne korzyści, przy czym absolutnie się jej nie trawi. O, tak. Nie tylko trawienie jest tu nierealne, lecz nawet spojrzenie na potrawę tak niesmaczną. Przypomnijcie sobie chociażby mapę skóry, pomarszczoną w nienaturalny sposób latami nieprzemyślanego stosowania kremu ulic i domostw, wyłysiałą zieleń parków głowy czy niezbyt przyjemny zapach niewydolnych kanałów, kryjących się w podziemiach ubrań. Fuj! Niesmaczność niesmaczności, trawienie uniemożliwiająca w niesmaczności swojej najbardziej niesmacznej. Natomiast ja i Gospodarz zmierzaliśmy na targowisko z całą paką smaczności, co w niesmaczności miejskiej wyłom smaczny tworzyło. Czytaj: ciotka umyła się, przebrała, a w dodatku ma dobry humor. Wracając – wieźliśmy jaja. Jaja porządne, polskie. Pod ich skorupką – stroną tytułową wielkiej księgi – krył się wytwór naszej lokalnej cywilizacji, nasze dziedzictwo, kultura, historia – spuścizna! Zaprezentowawszy je teraz światu, mieliśmy uzyskać trwałe miejsce na ogromnym rynku, znajdującym się po zachodniej stronie aglomeracji i zrównać się tym samym ze starymi handlarzami – Konradem, Robertem, Jeanem, czy Winstonem. Tym bardziej rozpierała mnie duma i przepełniało podekscytowanie. Przecież osobiście opiekowałem się kurami mego Gospodarza, motywowałem je do znoszenia większej ilości jaj i dbałem o dobre wychowanie piskląt. Zgadza się, nazywam się Karol III i jestem kogutem.

Bazar to miejsce, gdzie łatwo jest się zagubić. Zagubić w zagubieniu ogólnym, w którym zagubienie samo się zagubia w swoim zagubieniu. I gubi. W bramach na plac handlowy, czekają na nas zazwyczaj tandetne zabawki i kolorowe baloniki, unoszące się w powietrzu, dzięki wypełnieniu helem. Dla większości to pewnie nic istotnego, ale na dzieci – to potężny lep. Młode muszki (ważne: nie muchy, lecz muszki – i to młode!) skuszone tymi pstrokatymi bublami, wkraczają na teren nieprzeniknionego targowiska.

Przy okazji zmuszają swoich rodziców, którzy czasami są, co prawda, młodymi muchami, ale w dużej mierze nadal muszkami (za to na pewno nie muchami z krwi kości – błagam – w ogóle nie stosujemy określenia muchy bez żadnego przymiotnika, bo taki twór nie istnieje!) na kupno owych latających baloników, zamienianych na zeppelin, którymi dzieci odlatują do chmur, bowiem myślą, iż są one zbudowane z waty cukrowej. Ha! Absurd! Nadzieja – czysty absurd. Będąc młodym jeszcze kogutem Gospodarz także podarował mi taki prezent. I wiecie co? Doleciałem prawie do obłoków, kiedy nagle balon pękł. Zapytacie: po co w zasadzie kurakowi tenże niecodzienny aeroplan? A ja odpowiem: Bóg jest to Duch najdoskonalszy, Stworzyciel nieba i ziemi, Ojciec nasz najlepszy.

Początkowe stragany zawsze są najspokojniejsze – sprzedawane na nich książki z dziedziny historii i literatury – nie cieszą się popularnością. Prawie każdy przechodzi obok nich obojętnie lub przegląda jedynie powierzchownie tytuły. Z kolei następni kupcy sprzedają odzież i cieszą się większym zainteresowaniem. W swoim asortymencie posiadają chociażby świetne płaszcze z Grecji i Rzymu, kunsztowne francuskie obuwie, porządne niemieckie krawaty czy znane izraelskie kapelusze. Masa ludzi przymierza u nich wszelkie stroje, lecz w każdym przypadku okazuje się, iż mają one braki, wady fabryczne. Okazują się być często wzorcowe tylko na sprzyjające warunki atmosferyczne. W sytuacji, kiedy z siłą wyplakanych przez nas łez, spadnie deszcz albo z nagłością, dotykających nas nieszczęść, zawieje wiatr – wspomniane odzienia ulegają zniszczeniu. Wobec tego większość kupujących kieruje się do serca rynku, gdzie handluje się owocami i warzywami. Z tego, co zauważyłem, ludzie uwielbiają to miejsce, atoli dla mnie jest to sceneria wydarzeń, jeśli nie gorszących, to na pewno zdumiewających.

– Maliny są złe! Czy chcecie z nimi wojny totalnej? Jeżyny to rośliny panów! Należy zadbać, aby miały miejsce do wzrostu. Musimy ostatecznie rozwiązać kwestię cebulową! – rozbrzmiewa krzyk z jednej strony.

– Marchewki wszystkich pól łączcie się! Koniec z buraczanymi wyzyskiwaczami. Niech żyje towarzysz pomidor! – nawołuje handlarz o rosyjskim akcencie.

Jednakowoż największym poparciem wśród tłumu może chwalić się kupiec, odziany w elegancki garnitur, powtarzający nieustannie:

– Kartofli, kartofli, kartofli. Kartofle, kartofle, kartofle. Kartoffel!

Chciałbym trafnie i błyskotliwie skomentować przedstawioną głupotę ludzką. Ale nie potrafię. Sam za tępy jestem. Żeby być mądrym, trzeba myśleć, a ja nie myślę. Myślenie to bardzo niebezpieczna sprawa. Niektórzy mówią: myślę, więc jestem. Natomiast gdy ja dawniej więcej myślał, zaczęło mi się wydawać, iż tak naprawdę mnie nie ma.

Dlatego zrezygnowałem z myślenia. Przeto – proszę ludzi – nie myślcie, że ja jestem. Może i jestem, wszystko możliwe. Bo przecież mleko piję, ale za to miód używam tylko do kawy.

Zatrzymaliśmy się przy Kościele św. Benedykta z Nursji. Nasz poczciwy furgon z lubelskiej fabryki znacznie odróżniał się od, stojących tam wokół, nowoczesnych wozów dostawczych reszty handlarzy. Był inny. Nie chcę twierdzić, że był przestarzały, brzydki czy po prostu gorszy. Odmienny – i to wszystko. Nie jestem przecież człowiekiem, abym rościł sobie prawo do błyskawicznych osądów. Prawdą jest, iż żuk uciekł z tonącego statku, ale czy można było go zmuszać do pójścia na dno razem z okrętem? Jaki pożytek byłby z tej śmierci? Na co kolejna martyrologia? Zresztą, żuk nie przybiłby się do krzyża. I to nie dlatego, że nie ma rąk albo kieruje się zdrowym rozsądkiem. Na jego decyzję wpłynęło to, że gdy wzbił się nad ziemię w postaci orła, nie zobaczył czarnego kruka, lecz bociana. A bocian wszystko przewartościowuje. Bocian to podstawa! Jednakże te wyjaśnienia nie wystarczają masie różnych Gustawów i Konradów (błagam – nie ufajcie tym ludziom – zniszczyli mi raz grzebień), którzy bez ustanku próbują wzbudzić w nieboraczkę poczucie winy. A biedaczyna (na pewno nie z Asyżu) nie ma nawet swojego Marlowa! I chociaż prawdopodobnie sądzi, że znalazł w nas swój Klejnot, to śmiało miarkuję, iż kiedyś zostanie zezłomowany przez jakiegoś nikomu nieznanego przywódcę plemienia Bugisów.

Otworzywszy tylną burtę skrzyni, czekaliśmy niecierpliwie na kupujących. Byliśmy w zasadzie pewni sukcesu. Takie jaja! Nikt takich nie miał. Choć przez ostatnie lata zajmowaliśmy się bardziej marchwiami, to dawniej naszej jaja były wręcz rozchwytywane, a ludzie bez wątpienia pamiętają, co dobre. W rzeczy samej, po chwili zaczęła do nas podchodzić – nie iść, ale właśnie niedbale podchodzić – grupa ludzi: młodzieniec z kieliszkiem wina i bagietką, jasnowłosa blondyn, zagryzający piwo kielbasą oraz kapelusznik, popijający wolno herbatę.

– Spójrzcie, panowie. Jakie piękne jaja! – zacząłem.

– Kury, kury, kury – odpowiedzieli gromadnie.

– No tak, oczywiście, że kury. Kury te jaja zniosły. I to jakie! Pierwsza klasa – nie bez pychy odrzekłem.

– Ko, ko, ko – ozwali się ponownie razem.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Coś było nie w porządku. Zaczęliśmy przestawać ufać naszym jajom, traciliśmy poczucie własnej wartości. Zrozumieliśmy jasno – oni nie chcą wcale jaj, ale pragną naszych kur!

Tymczasem oni odwrócili się i poczęli rozmawiać między sobą. Piwosz tłumaczył:

– Wy ich nie rozumiecie. Jestem ich sąsiadem, posłuchajcie, dla nich te jaja mają ogromne znaczenie, są dla nich wszystkim. Myślą, że również kochamy te jaja i chcą byśmy je kupili i zostali w ten sposób przyjaciółmi.

– My! Ich jaja! A na co nam one? Czy my swojego kurnika nie mamy? Przecież dla nas tylko zagarnięcie ich kur się liczy – otwarcie przyznał się wielbiciel bagietek.

Na to, do tej pory zamyślony, herbaciarz rzekł:

– Kochani, trzeba ich wziąć podstępem. Lwem będziemy później, na razie potrzebny jest lis. Musimy ich ubazarować.

A słowo to pełne tajemniczości i swoistej grozy przepełniło całe powietrze. I odór potworny od tego leksemu bił, aż wszelki ruch na rynku ustał, a spod żuka plama oleju ukazała się czarnością chodnika. O takich plamach się nie zapomina. Trudno je zmyć – swoją drogą – nawet nie ma komu tego zrobić.

Towarzysze zwolennika ubazarawiania (jakież to okropieństwo jest w stanie wymyśleć człowiek!) także nie kryli zdziwienia:

– Ubazarować! Kolego, czy ty chcesz... zagrać im na fortepianie?

– A skądże – ich fortepian runął.

– Tak... Ideał sięgnął bruku. Czy zatem cymbały będą twoim instrumentem?

– W pewnym sensie – tak. Ale nie dosłownym. Jam nie Jankiel.

– To pewnie użyjesz złotego rogu?

– Przecie Jasiek zgubił.

– A to cham! Zostają zatem tylko...

– Patyki! – wykrzyknął, po czym wskoczywszy na słomianą belę, począł grać właśnie na patkach, jakby na skrzypcach.

A muzyka ta była niczym rzeka płynąca ku wyspom szczęśliwym, niczym krew żywa ciało pobudzająca, niczym harmonijna melodia owadów w malinowym chruśniaku! Tak owadów! I przeleciała boża krówka, i zabrzmiał pierwszy dźwięk, i rozeszło się przeciągłe, acz delikatne, słowo: *bazar*. Po nim pszczoły zabrzęczały kunsztownie i dało się słyszeć lekkie, atoli zachwycające, powtórzenia: *jajka, jajka, jajka*. Wreszcie bas się rozległ, bas trzmieli, przy czym uszy pochłonięte całkowicie zostały solidnym i mistrzowskim bzyczeniem: *jajo, jajo, jajo*. I kiedy wszyscy myśleli, że to już kres – motyl się zjawił i machnięciem skrzydeł, tak misternym, idealnym, światowym, huknął (dokładnie – motyl huknął!): *bazarowe jaja*.

Na końcu samym szerszeń się pojawił, który choć znieawidzony i tępiony, zaskakująco wzorowo pasował do tej spójnej kompozycji, zamykając ją ledwie słyszalnym i pełnym gracji (jakże to niepodobne do szerszenia), akordem: *ubazarowiony*.

Tłuszcza, przysłuchująca się temu niecodziennemu koncertowi, popadała w różne skrajności. Wielu w powszechnej ekstazie mdlało lub płakało. Inni zanosi modły do Boga. Znaleźli się i tacy, którzy uciekali w popłochu, nie mogąc zrozumieć pieśni tak doniosłej. Byli także szaleńcy, porywający się do szabli i kos. I tylko jeden pan w średnim wieku, czytając z boku, o metalu lżejszym od powietrza, nie wykazywał zainteresowania tym wydarzeniem i sporadycznie spoglądał smutno w stronę peronu kolejowego.

Nie wiem, jak ten występ podziałał na Gospodarza, bowiem nie jest on rychliwy w okazywaniu swych emocji, ale ja sam zostałem prawdziwie bez reszty *ubazarowiony*. W dodatku, proces ten spowodował w moim przypadku kolejny efekt – zmałpienie. Kogut zmałpiał! Ten, który niejednokrotnie, wcale nie bez powodu, wywyższał się ponad inny drób, a na pewno nigdy nie czuł się gorszy, zmałpiał. Zacząłem naśladować wszystkie ruchy piwosza, winiarza i herbaciarza i (o, zgrozo!) uznałem, iż obce jaja są lepsze od naszych. Wskutek tego, nie dziwi fakt, że gdy owi panowie zaproponowali nam chuderławego koguta w zamian za nasze jaja i grzecznie poprosili o kilka kur, jako dowód serdeczności – zgodziłem się bez zastanowienia. Bo przecież kokoszki zniosą nowe jaja, strata paru sztuk niosek to nic strasznego, a ten nowy kogut nie może zagrozić swą lichością mojej pozycji w stadzie. A zresztą żadna cena nie jest wygórowana za przyjaźń tych panów i za pozwolenie na handlowanie z nimi na zachodnim targu.

– Prawda? Prawda? Czy to nie jest świetny interes? – dopytywałem gorączkowo Gospodarza.

Milczał.

Przemiany najczęściej zachodzą pod wpływem kur. Słyszałem drzewiej o człowieku, który na najwyższej górze w całej Europie zdecydował, że zacznie walczyć o drób, po czym odleciał na chmurze. Z kolei u nas na wsi był kiedyś taki Jacek, pragnący dobra niosek, przez co został Robakiem. Podobno inny szaleniec w imieniu kur wystąpił kiedyś przeciwko Bogu. Ale to już za wiele i kara boska na to musiała być. Swego czasu opowiadano również mi historię jakiegoś Wertera, co przez kwokę, najpierw pisał listy, a potem to mu tylko był toporek w głowie (nie żaden topór czy siekiera – to źle brzmi, a toporek to nazwa wielce urokliwa). Propos toporka – był pewien biedny student w Petersburgu, który zamienił kolejność, tj. na początku lubił toporki, zaś później kokota albo kokoszka (nie mam pamięci do tych nazw) zmieniała jego poglądy.

Natomiast najciekawszy przypadek przedstawiono mi niegdyś w mieście. Otóż w Oranie pojawiła się jakaś niewidzialna kura i skubana wybiła dużą część mieszkańców (też podobały jej się toporki). Lecz wreszcie i ją oskubali, a przy okazji wielu odmieniło się zupełnie. Kurka wodna! To czym lub kim właściwie są te kury? Śpieszę z odpowiedzią: kury to ptaki hodowlane z rodziny kurowatych, hodowane na całym świecie dla mięsa i jaj. Tak w ogóle, proszę nie wymagać ode mnie logiki i prawdziwości – jestem, bądź co bądź, kogutem. A swoją drogą, cóż to jest prawda?

O ile powszechną przyczyną zmian są kury, o tyle u nas z powodu nowego koguta zdecydowano się na przełom, a mówiąc wprost – remont kurnika. Osobiście czuję wstręt do wszelkich nowości, atoli muszę w tym przypadku przyznać, że zaiste nigdy nie mieliśmy tak wspaniałego domu. Chociażby postawiona została większa grzędą, dzięki czemu mogliśmy swobodnie podróżować po różnych drążkach. Zainstalowano także elektryczne poidło i karmnik, hojnie dawkujące dotacje śruty. Należy wspomnieć też o poprawionym oświetleniu (podobnego oświetlenia, co wtedy, doświadczyłem ostatnio na studiach) oraz o usprawnionej wentylacji, umożliwiającej swobodny przepływ mas (powietrza oczywiście). Szczególną uwagę chcę zwrócić na obielone ściany w naszym pokoju. Biel wiele znaczy. A jeszcze w pokoju! Pokój w pokoju to szalenie ważna sprawa. Lecz dla mnie najbardziej liczyła się wymiana okna, okna na świat. To przez nie wyglądałem każdej nocy, spoglądając na okrąg złożony z dwunastu gwiazd.

Wszystkie kultury mają zbiór obowiązujących w nich zasad – moralność, którą trzeba przestrzegać. Przynajmniej w teorii. Nie inaczej jest ze społecznością kurnika. I właśnie ten nasz drobiowy etos, którego jestem strażnikiem, został podważony przez nowego koguta. Sajetan (bo tak jest mu na imię) rozpoczął kampanię przeciwko mnie, podważwszy na początek reguły żywieniowe, panujące wśród kur. Rozumiem, że do jedzenia ryb można używać, oprócz widelca, noża. Ale Sajetan uczynił z odwiecznych prawideł pokarmowych istny bigos. Po pierwsze przekonywał, iż owies jest dla kur lepszy niż pszenica i wręcz zakazywał zielonki. Wiem – mniszek wywołuje alergię, a pokrzywa kuje, lecz jakie to smaczne! I zdrowe przecie też. Pomyślcie, ludzie w większości nie jedzą liści wymienionych roślin. I co? Umierają. A kury? Jedzą i nie umierają. One mają toporek, a to co innego (szczególnie, kiedy poza toporkiem jest pieniek – wtedy to już całkiem inna sprawa; ludzie nie zdają sobie sprawy, czym jest pieniek). Jednakowoż największą herezją kulinarną okazał się postulat zamiany w jadłospisie kamieni na szkło, a także kosztowanie styropianu, twierdząc, iż jest to ryż. Tego już za wiele!

Chociaż muszę przyznać, że podówczas nie był to dla mnie jeszcze powód do zmartwień – pierwsza rewolucja Sajetana nie odniosła sukcesu, zastępy jego czeladników były nikłe.

Później okazało się, że mój wróg ma jeszcze drugie imię – Pankracy. Pisząc *okazało się*, mam na myśli, że sam mu je nadałem. Oczywiście nie bez przyczyny, bowiem mojemu rywalowi zachciało się niszczyć porządek społeczny. Do tej pory każda kokoszka знаła swoje miejsce w stadzie, ponieważ zostało to ustalone na drodze zażartego współzawodnictwa. A tu nagle przychodzi ten trzpiot i mówi, że to wszystko jest już nieważne. Zażądał ode mnie, aby najbardziej zasłużone kury siedziały na dole, a najpodlejsze na górze, grzędy. Śmiechu warte. Kim on jest, żeby o tym decydować? A może wcale go nie ma? Albo inaczej – może to ja go stworzyłem? Ach, Demiurgu. Co mnie podkusiło? Następnie począł tłumaczyć kurom, że są silne i niezależne, wskutek czego nie godzi się, by kogut zasłaniał je swymi skrzydłami. I część zaczęła mnie wtedy unikać, bom lubił to robić. Jednakże najpotworniejsze było namawianie kwok do niewysiadywania jaj i niewychowywania piskląt. No jakże to! Nie muszę chyba informować, iż wszystko to stało się przyczyną znoszenia coraz mniejszej ilości jaj. A to była już sytuacja niebezpieczna.

W zasadzie nie mam żadnych uprzedzeń do kretów. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, iż obdarzam je tym samym uczuciem, co kuropatwy, a to przecież już nie jest źle. Planowałem nawet swego czasu, przy ich pomocy, przejąć kontrolę nad światem. Od dołu. Od ziemi. Dlatego też nie popadłem w histerię, gdy Sajetan wpadł na pomysł, żeby dzielić się z nimi dżdżownicami i pędrakami. A niech mają! Przymykałem również oko na częstowanie śrutą gołębi, bo dobrze byłoby, aby to najpierw do nas jeden z nich przyleciał z zieloną gałązką w dziobie. Lub w pazurach. Jak sobie woli. I tak Karusi Szarłatowiczówny już nie ma, a gęganie gąsiora jest piękniejsze od śpiewu słowika, czy coś w ten deseń. Co by nie było, powyższe przypadki były do zniesienia. Lecz kolejne już takie nie były. Dosłownie. Nioski praktycznie całkiem przestały znosić – znosić jaja. Nie czuły się komfortowo w gniazdach, powiem więcej – żyły w poczuciu ciągłego zagrożenia. Jak do tego doszło? Tolerancję międzygatunkową rozszerzono też na lisy. Na nic zdały się moje protesty, apele błagalne – zaślepione kokoszki na tym etapie nie były w stanie pojąć, że stoją nad przepaścią. Pankracy wygrywał bitwę, atoli niełatwo jest spalić rękopis (niektórzy sądzą, że to w ogóle niemożliwe, ale to kłamstwo – kluczem jest użycie go na rozpałkę).

Gospodarz był jeszcze skłonny, mimo faktycznego braku jaj, dać kurom następną szansę. Może figowiec zacznie ponownie rodzić. Jednak nastawienie to zmieniło się drastycznie, gdy zorientował się, że nioski przestały brać kąpiele w piasku. Przestały się oczyszczać.

Ostatecznie czarę goryczy przelała przede wszystkim niechęć kokoszek do podcinania skrzydeł. Gospodarz stosując ten zabieg, dbał o ich bezpieczeństwo, ale one zostały przekonane przez Sajemana, że w ten sposób ograniczana jest ich wolność i odrzuciły ową opiekę. Odrzuciły Gospodarza. Rozpoczęte zostało ostrzenie toporka.

Świat ulega regularnym przeobrażeniom. Słońce wschodzi i zachodzi. Ptaki przylatują i odlatują. Kurniki powstają i upadają. Rzeki płyną od źródeł do ujść. *Panta rhei!* Lecz czy na pewno? Na naszym gospodarstwie jest staw, w którym woda nie płynie. Naturalnie, wskutek różnych zawirowań zmniejsza się poziom tejże życiodajnej cieczy, ale nie zdarzyło się dotychczas, aby doszło do wyschnięcia naszego jeziora. Gospodarz kocha tam spędzać swój wolny czas. Ja i kury onegdaj też przebywaliśmy nad stawem sporo czasu. Jednak odkąd odnowiono nam kurnik i pojawił się Pankracy, zapomnieliśmy o tym miejscu. Dlatego nie mając żadnego pomysłu na ratunek kur, udałem się tam dawnym zwyczajem, chcąc powspominać minione lata. W siedlisku tym spotkałem znajomego – dzikiego kaczora. Spytawszy go o opinię, co do tej całej sytuacji z drobiem oraz poprosiwszy o radę, przemówił w dłuższym wywodzie:

– Karol, słuchaj, ty musisz z powrotem uwierzyć w siebie, uwierzyć w kury, uwierzyć w jaja. Zostałeś ubazarowiony. Teraz zrób wszystko, aby się odbazarować. Spójrz na ostatnie wydarzenia racjonalnie – ty wcale nie walczyłeś, a tylko udawałeś. Rusz kuper! Twój splendor i dobroć Gospodarza powrócą tylko wtedy, gdy pokonasz Sajemana. Stocz z nim bój ostateczny – wszystko albo nic. Bądź dzielny! I pamiętaj – nie jesteś od niego gorszy.

Spojrzałem smutno w toń wody, w której spokojny żywot wiodły ryby:

– A one? Dlaczego nie walczą, żyjąc w powszechnej szczęśliwości?

– A to, co innego. One mają czaplę, Gospodarza i przede wszystkim pieniek.

Nie przekonywały mnie te tłumaczenia, ale nie było innej możliwości – trzeba było bić się. Przekraczając bramę folwarku, ujrzałem tylko poszukującego pieńka, Gospodarza z toporkiem, który odezwał się nareszcie, mówiąc (z sympatią!):

– *Dies irae...*

– *Contra spem spero* – odrzekłem.

Następnie rzuciłem się na Pankracego i rozpoczął się pojedynek na pióra. Upieraliśmy się, piór nawzajem się pozbawiając. I piór przybywało, poprzez ich ubywanie. I już to miałem pióro gęby i formy mu wyrwać, gdy ten pióra Korzeniowskiego i Oszyka pozbawił mnie! I kiedym leżał powalony przez niego, pozbawiony wszystkich piór, czekając na śmierć – ryby mi się przypomniały, więc rzekłem:

– Łuski.

A on na to spojrzął się w dal, zadumał i kiwając głową dopytał:

– Ryby?

– Ryby – potwierdziłem.

Dalsze pytania były zbędne. Wpadliśmy sobie w objęcia, jak starzy przyjaciele, po czym wsiedliśmy w żuka. Odpalił wzorcowo. Odjechaliśmy. Gdzie? Ani do miasta, ani nad staw, ani nawet w poszukiwaniu nowego stada czy w nieznane, po to, aby ładnie zakończyć tę opowieść. Myśmy pojechali do bociana – po pieniek, bez toporka, bo to była już niedziela, a nie sobota.